NAOKOŁO ŚWIATA

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE.

Redakcja i administracja w domu przy ul. **Hożej № 52, m. 4, na dole;** otwarte, codziennie, prócz niedziel i świąt, od godz. 11-ej z rana do 1-ej po południu i od 4-tej po południu do 6-tej z wieczora.

Nr. 34. **Warszawa, d. 20 (7) Sierpnia 1904 r.** **Rok III.**

Manifest Najwyższy.

Z BOŻEJ ŁASKI

MY, MIKOŁAJ DRUGI,

Cesarz i Samowładca Wszechrosyjski, Król Polski, Wielki Książę Finlandzki

i t. d. i t. d. i t. d.

Ogłaszamy wszystkim wiernym Naszym poddanym:

W dniu 30 lipca r. b. Najukochańsza Małżonka Nasza Najjaśniejsza Pani Aleksandra Teodorówna szczęśliwie powiła Nam Syna, Któremu dano imię Aleksy.

Przyjmując to radosne wydarzenie jako dowód błogosławieństwa Bożego, na Nas i Państwo Nasze zlewanego, wznosimy razem z wiernymi Naszymi poddanymi gorące modlitwy do Najwyższego, o pomyślne wzrastanie i rozwijanie się Naszego Syna pierworodnego, powołanego być Następcą przez Boga danej Nam Monarchji i wielkiej Naszej służby.

Manifestem z dn. 28 czerwca r. 1899 powołaliśmy Najukochańszego Brata Naszego Wielkiego Księcia Michała Aleksandrowicza, aby był Naszym Następcą aż do chwili urodzenia się Nam Syna.

Od chwili obecnej, na mocy zasadniczych praw państwowych Cesarstwa, Synowi Naszemu Aleksemu przynależy wysoka godność i tytuł Cesarzewica Następcy Tronu, ze wszystkiemi związanemi z nim prawami.

Dan w Peterhofie d. 30 lipca, roku od Narodzenia Chrystusa tysiąc dziewięćset czwartego, a panowania Naszego dziesiątego.

Na oryginale Własną Jego Cesarskiej Mości ręką podpisano:

„MIKOŁAJ“.

CZERSK.

Dzieje zaznaczają niejednokrotnie, iż wiele miast dawnych, świetnych, przyczyniło się powstania nowych, które następnie zatraciły prawie wszelkie węzły powinowactwa z sobą.

Podług podania np., Padwa we Włoszech wywołała utworzenie się Wenecji, która ją później w świetności przewyższyła: zastęp rycerzy, uchodząc, w wieku V-tym z Padwy przed zajadłością gotów, założył miasto Wenecję.

Mniej więcej podobnie rzecz się miała z Czerskiem i Warszawą, gdy książę litewski Strojnat napadł na stolicę Mazowsza—Czersk.



Baszta zamkowa w Czersku.
Fot. amat. M. Leśniewskiego, stud polit.

Dawna, świetna siedziba książąt Mazowsza, wspaniały niegdyś gród — Czersk — leży w ruinach i nawet nie budzi ciekawości w wielu mieszkańcach Warszawy.

Stopniowy upadek Czerska rozpoczął się od chwili, gdy książęta Mazowieccy, zwróciwszy oko na Warszawę, zbudowali w niej zamek dla siebie, przenieśli tam kolegjatę i wiele innych instytucji; dzięki takiej opiece Warszawa stała się stolicą Mazowsza a później całego kraju,—wzrastała i wzrasta w naszych oczach, zgodnie z przepowiednią ś. p. Steinkellera, który jej wróżył świetny rozkwit.

Czersk ustąpił palmy pierwszeństwa swej młodszej siostrzycy, która niewdzięczna—zapomniała o nim i do dziś dnia nie pamięta.

A przecież, zarówno dzięki swemu położeniu, jak i zabytkom, których ślady jeszcze pozostały, Czersk powinien żyć w pamięci warszawian.

Już wtedy, gdy Jan, książę Mazowiecki, począł się pisać księciem na Warszawie, Czersk podupadł; mimo to, stanowiąc oprawę posagu królowej Bony, był miastem znacznym jeszcze, zaludnionym, posiadał piękne winnice.

Za Zygmunta III-go jeszcze winnice te dostarczały podobno obfitych i smacznych plonów.

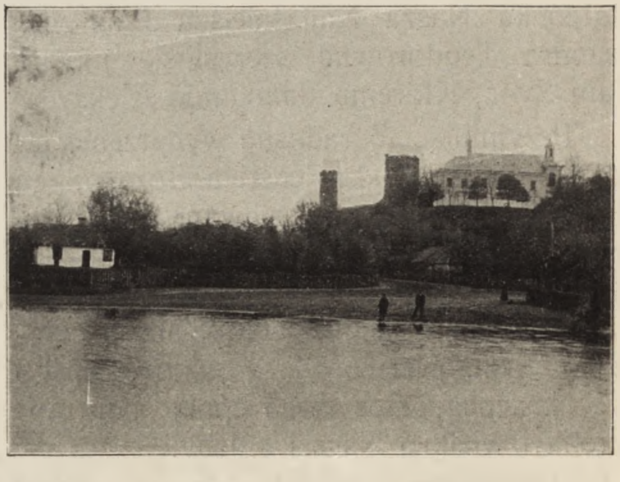
Czego nie dokonało panoszenie się Warszawy kosztem Czerska, tego dokazały pożary, wojny szwedzkie i kozackie, wywołując dalsze przesiedlanie się urzędów i rycerstwa do Warszawy.

Z biegiem czasu miasto stołeczne księstwa czerskiego stało się osadą, liczącą dziś niewiele ponad pół tysiąca mieszkańców i 50 domów.

Dwie załączone fotografje przedstawiają: ruiny wspaniałego zamku starodawnego i kościół pod wezwaniem Przemienienia Pańskiego, wybudowany przed niespełna stu laty, tudzież basztę przed zamkiem, dziś jeszcze pełną majestatu i imponującej powagi wieków minionych.

Warszawa powinna otoczyć opieką szczątki tego starego, bliskiego nam Czerska, aby ruiny zamku książąt Mazowsza nie rozsypały się, z biegiem czasu, doszczętnie.

Czyż mamy przypominać o obowiązku wdzięczności, niespłaconym przez Warszawę Czerskowi?...



Ruiny zamku i kościół w Czersku.
Fot. amat M. Leśniewskiego, stud. polit.

Należy to uczynić z uwagi, że nie hańbi zapomnienie, lecz niewdzięczność ..

Bo oto na kartach monografji dziejowej czytamy:

„W XIV wieku Czersk był w pełni rozkwitu, a bogaci jego mieszkańcy częstokroć zasilali, ofiarami, w czasie nieszczęść, ubogich mieszkańców powstającej Warszawy!..

Częste wycieczki do Czerska, przedsiębrane nie z planem niszczenia, lecz dla pełnego pietyzmu podziwiania pamiątek przeszłości, zakładanie will i mieszkań letnich, niezawodnie wywołałoby jaki taki dobrobyt i przyczyniło się do podniesienia tej miejscowości uroczej.

Czy nie dałoby się w tej pięknej okolicy założyć jakiej stacji klimatycznej, zakładu wodoleczniczego, lub t. p.?

Blizka komunikacja: kolejką górno-kalwaryjską, lub statkiem parowym, ułatwia każdemu warszawiakowi odwiedzenie jednej z kolebek Mazowsza, która przyczyniła się do powstania i rozrostu Warszawy.

Władysław Karoli.

JOZEF GIEYSZTOR.

Na Dalekim Wschodzie.

(Ciąg dalszy.)

Zawracamy w jakąś boczną ulicę i zatrzymujemy się przed zamkniętą bramą. Kilka uderzeń pięścią sprowadza przed bramę jakiegoś subjekta-chińczyka, z którym zaczyna się dłuższa pertraktacja. Wymowa Dżana przekonywa go: wrzeciądze skrzypią i wjeżdżamy w obszerny dziedziniec, w głębi którego błyszczą ponętnie oświetlone okna domu mieszkalnego.

Gospodarza, Szen-tina, niema w domu, wita nas, w zastępstwie jego, wspólnik, stary, poważny chińczyk, Chen-łaoje („łaoje"=pan). Po chwili siedzimy w izbie przy stole—ustępstwo zrobione dla europejczyków—i rozmawiamy z Chenem, pykającym na kanie długą fajkę z grubym, anyksowym, mundsztukiem. Ponieważ jesteśmy głodni, przynoszą nam kolację: makarony z mąki grochowej i—kołduny, najprawdziwsze kołduny litewskie, tylko mniej tłuste. Jest to, jak się okazuje, jedna z ulubionych potraw w Mandżurji. Oprócz pałeczek dają nam widelce—dowód częstych stosunków z europejczykami -- ale my właśnie staramy się jeść tylko przy pomocy pałeczek, pijemy herbatę bez cukru z filiżanki, przykrytej spodeczkiem, ciągniemy gorący chanszyn i wogóle usiłujemy wykazać swoje schińszczenie.

Na noc ułożyliśmy się na kanie, do którego służba przysunęła stołki drewniane, radząc na nie kłaść poduszki. Wkrótce oceniliśmy słuszność tej rady. Przebudziłem się bowiem w nocy od uczucia nieznośnego gorąca: to kan, pod którym przeprowadzone są rury gliniane od paleniska, rozgrzał się i, gdyby głowy nasze nie spoczywały na krzesłach, nabawilibyśmy się szalonego bolu głowy.

Nazajutrz z rana złożyliśmy wizytę konsulowi rosyjskiemu, p. P. Gmach konsulatu mieści się za miastem, śród obszernego parku z dębów i wiązów, na miejscu świątyni, zrujnowanej podczas wojny ostatniej. Konsul przyjął nas bardzo uprzejmie i oddał do dyspozycji obfite materjały statystyczne, dotyczące handlu w prowincji Chej-łun-dzian z Rosją. Po spożyciu wykwintnego śniadania — po raz pierwszy od czasu opuszczenia Charbina — i otrzymania uprzejmego zaproszenia na obiad, udaliśmy się na miasto.

Cycykar, jak wszystkie miasta chińskie, posiada dwie główne ulice, przecinające miasto na krzyż i zakończone 4 bramami w murze otaczającym miasto. Bramy noszą nazwy — zależnie od strony świata, w którą są zwrócone—północnej, południowej, wschodniej i zachodniej. W środku miasta, przy zbiegu głównych ulic, znajduje się dwupiętrowa wieża na arkach. Na tych dwóch ulicach ześrodkowywa się cały handel miasta, to też sklep mieści się tu przy sklepie. Większość sklepów nie posiada ściany zewnętrznej i handel prowadzony jest bezpośrednio na ulicy. Przed sklepami umieszczone są szyldy, w postaci jaskrawo pomalowanych słupów z ozdobami i emble-

matami handlu, lub długich, kolorowych deseczek z napisami. Na ladach zewnętrznych, na półkach, wreszcie pod dachem, porozkładano i porozwieszano towary.

Najefektowniej wyglądają sklepy futer. Przepyszne skóry tygrysów, barsów i rysi wystawione są prawie wszędzie, przy nich wiszą błamy doskonale dobranych popielic, szopów, kóz. W wielkiej ilości spotyka się również sobole mandżurskie, sprzedawane po 15 rb. skórka, o włosie krótszym, niż u soboli syberyjskich, ale za to ciemniejszym i z bardzo ładnym połyskiem. Obfitość ta futer tłómaczy się okolicznością, iż tunguskie plemiona myśliwskie, zamieszkujące Mandżurję północną, przybywają parę razy do roku do Cycykaru dla opłaty dziańdziuniowi daniny i wyzbywają się tu swoich trofeów, zakupując natomiast niezbędne im przedmioty.

Niemniej liczne są sklepy z towarami łokciowemi, gotowem ubraniem, obuwiem. Wobec zbliżającej się zimy ubrania są grubo watowane, skórzane pantofle—„uły"—wyłożone specjalną, tartą trawą. Z innych sklepów wyglądają siodła ze skórzanemi lub ceratowemi, malowanemi czaprakami, fajki metalowe z długiemi cybuchami, stolik z kamiennemi mundsztukami i pierścieniami, srebrne ozdoby na głowę dla piękności miejscowych, liche wyroby fajansowe, przybory do palenia opjum, podejrzanej treści fotografje, malowidła i t. d. Wszystko jest obliczone na gust bardzo niewybredny.

Środkiem ulicy, niebrukowanej, jak się rzekło, i mającej po bokach ścieki, przykryte deskami, snuje tłum różnobarwny, krzykliwy, o dobrodusznym wyglądzie. Wyrobnicy w szarych, krótkich kurtach, podciągniętych pasem, kupcy w ciemnych, luźnych kurmach z długiemi rękawami i światłej spódnicy; mongołowie w długich, szarych kapotach, przepasanych rzemieniem, i w czapkach z uszami, dążą dokądś z pośpiechem, pokrzykując i szczerząc zęby do nas. Na arbie dwukołowej, zaprzężonej w muła, siedzi kilka kobiet-mandżurek. Młode, malowane, odwracają się od nas, brzęcząc olbrzymiemi kolczykami; stare, z rękami powsuwanemi w rękawy, patrzą spokojnie, nie wypuszczając fajek z ust, lub mając je zatknięte za kołnierz.

W pobliżu wrót miejskich handlarze smakołyków rozłożyli kuchenki przenośne. Tuż, na ulicy, robią oni z mąki grochowej makarony, zwijając je z przedziwną zręcznością w pęczki, które wrzucają następnie do kotła. Na deszczu, obok, stoją stożkowate kawałki ciasta w pół surowego, gotowanego na parze,—surogat naszego pieczywa. Z tegoż ciasta robią się obwarzanki, które, po wrzuceniu do wrzącego oleju bobowego, naśladują nasze faworki. Ciż sami handlarze sprzedają jeszcze jakieś słodycze, których próbować się nie odważyłem, oraz małe melony i gruszki, ładne na oko, ale zupełnie pozbawione smaku, co—jak się potem przekonałem — jest właściwe wszystkim owocom na Dalekim Wschodzie, a zależy, prawdopodobnie, od braku umiejętności uszlachetniania gatunków.

Ruch i ożywienie panuje jednak tylko na głównych ulicach miasta. Ulice boczne, dużo węższe, są ciche, pozbawione sklepów, i wzdłuż dwóch rzędów wysokich ścian, otaczających prywatne mieszkania, ciągną tylko czasem, poskrzypując, arby z pomieszanym zaprzęgiem wołów, koni i osłów.

Na jednej z takich ulic mieści się bank rosyjsko-chiński. Udaliśmy się tam, aby odwiedzić dyrektora p. L., od którego miałem nadzieję otrzymać pewne dane, dotyczące stosunków handlowych w prowincji Chej-łun-dzian. Oczekiwanie nie zawiodło: p. L. udzielił nam chętnie materjałów, które zebrał, bawiąc w Cycykarze od lat kilku. Bank mieści się w zwykłej fanzie chińskiej, zaopatrzonej tylko w drzwi, okna i podłogi. Śród pracowników bankowych jest kilku chińczyków-kampradorów, jak ich tutaj nazywają.

Zdala od zgiełku głównych ulic schroniły się również świątynie Cycykaru, których najwięcej jest na przedmieściu. Nie różnią się one niczym od oglądanych przedtym, jak nie różnią się zewnętrznie nawet pomiędzy sobą, pomimo, że należą do wyznań rozmaitych: buddyzmu, konfucjonizmu i nawet mahometanizmu. Chińczycy-muzułmanie, zwani dunganami albo „choj - choj", stanowią osobną kastę nietylko pod względem religijnym, ale i politycznym, a stosunek ich do władz jest dość wrogi.

Wieczorem stary Chen wyprawił nas uroczyście do konsula na obiad. Do krytego, podłużnego pudła z okienkami, ustawionego na dwóch kołach, zaprzężono białego, rosłego muła, którego prowadził za uzdę, trzymaną krótko, sługa-chińczyk; drugi biegł obok z dużą, papierową latarnią na drążku. Myśmy siedzieli w środku, z wyciągniętemi przed siebie nogami, uderzając przy każdym wstrząśnieniu tego osobliwego ekwipażu głową o drewniane wiązania pudła lub o głowę sąsiada. Dziękowaliśmy Opatrzności, iż droga trwała krótko, gdyż inaczej czaszki nasze byłyby narażone na poważny szwank.

Jasno oświetlone, z europejskim komfortem urządzone, pokoje w mieszkaniu konsula, ożywione towarzystwo, ładna zastawa stołu, uprzejmość gospodarza, kazały nam wkrótce zapomnieć, że jesteśmy na krańcu Azji.

Następny dzień poświęciliśmy konferencjom z kupcami, członkami miejskiej Rady handlowej („gun-i-chaj"). Pysznie wyglądało to zgromadzenie poważnych mężów, w jedwabnych kurmach i okrągłych czapeczkach z czerwonym supełkiem, pykających na kanie długie fajki lub osobliwe kaljany, z których każde pociągnięcie dymu wymagało nowego naładowania fajki szczyptą tytoniu, rozpalenia hubki papierowej, i t. d., co czyniło z fajki podobnej doskonały przyrząd do zabijania czasu. Pomimo tej pozornej flegmatyczności, mandżurowie i chińczycy są doskonałemi kupcami, orjentują się łatwo w położeniu i umieją je dobrze wyzyskać.

A propos różnicy pomiędzy mandżurami a chińczykami: odróżnić zewnętrznie mandżura od chińczyka jest bardzo trudno, gdyż ubiór mężczyzn jest jednakowy i w stosunkach handlowych używany jest wyłącznie język chiński. Natomiast mandżurki - kobiety noszą się i zaczesują włosy zupełnie inaczej niż chinki, a przedewszystkiem nie kaleczą bandażami nóg; dużo kobiet nie rozumie też zupełnie po chińsku.

Pod względem administracyjnym jednak różnica pomiędzy mandżurami a chińczykami jest bardzo duża. Od czasu podboju Chin przez mandżurów i osadzenia na tronie dynastji mandżurskiej utrwalił się pogląd na Mandżurję, jako na kolebkę, a w razie potrzeby i schronisko, bogdychanów. W myśl tego uznano grunta w Mandżurji za wyłączną własność mandżurów, którą zabroniono sprzedawać chińczykom, a jednocześnie wprowadzono wojskowe urządzenie ludności, na wzór kozackiego w Rosji. Wszyscy mandżurowie zaliczeni są do 8 chorągwi, mają swoją hierarchję wojskową i na wszelkie wezwanie stawać muszą do broni. W czasie pokojowym jednak tylko mała ich część pełni czynną służbę wojskową, pewna ilość zajęta jest przewożeniem poczty, pełni obowiązek majtków na statkach rządowych itd.; reszta zaś może trudnić się swobodnie rolnictwem, przemysłem lub handlem, otrzymując zresztą stale pewien, nieznaczny żołd od skarbu. Jako urzędowy używany jest w korespondencji władz wojskowych język mandżurski.

Odpowiednio do tego chińczycy w Mandżurji mogli być do niedawnych czasów tylko w charakterze kupców lub dzierżawców rolnych, nigdy zaś właścicieli ziemi. Od lat kilkunastu jednak uzyskano prawo sprzedaży ziemi chińczykom w prowincji Mukdeńskiej i ilość ich wzrosła tam ogromnie, rugując żywioł miejscowy. W prowincjach: Che-łundziańskiej i Giryńskiej dotychczas nie wolno sprzedawać ziemi chińczykom, ale omijają oni to drogą dzierżaw dożywotnich.

Tego dnia postanowiliśmy zjeść obiad w restauracji chińskiej. Dano nam do dyspozycji osobną izbę, gdzie przy okrągłym stole zasiedliśmy wokoło na drewnianych stołkach. Gospodarował Dżan. Uczta rozpoczęła się od herbaty. Następnie podano przekąski: małe kawałki wędzonej ryby, strączki pieprzu czerwonego, cebulę i czosnek w ostrym sosie, orzechy zwykłe (laskowe) i chińskie. Nie sprzątając przekąsek, przyniesiono i ustawiono na stole w niewielkich miseczkach właściwe potrawy obiadu, wszystkie jednocześnie. Była tam zatym kura gotowana, pocięta na drobne kawałki, trepanga i inny jakiś gatunek skorupiaków morskich, skrzela rekina w potrawce, łodyga lotosu i młode pędy bambusu jako jarzyna, ajer w cukrze i. t. d. Wszystkie te potrawy były zupełnie jadalne i, jeżeli nie łechtały naszego podniebienia europejskiego, to w każdym razie nie sprawiały żadnego obrzydzenia, jak to powszechnie o kuchni chińskiej sądzą. Jako napój podano osobliwy gatunek wódki, pędzonej z prosa, słodkiej i niemocnej. Przy wnoszeniu każdej potrawy usługujący nam chińczyk wykrzykiwał śpiewnym głosem nazwę jej dla wiadomości nietyle naszej, co buchaltera, siedzącego przy osobnym stoliku i prowadzącego skrzętnie rachunek. O widelcach, naturalnie, mowy tu nie było: jedliśmy wszystko pałeczkami, które przy zmianie potrawy zmywaliśmy w wodzie, stojącej na stole w miseczce. Bez zmiany pozostawały przez cały czas obiadu i talerze, a właściwie spodeczki, na które nakładaliśmy z kolei wszystkie potrawy. Po obiedzie podano każdemu ręcznik, zmoczony w gorącej wodzie, dla otarcia rąk i ust.

Następnego dnia, z rana, opuściliśmy Cycykar. Ponieważ wracać mieliśmy łódką po rzece Nonni, przeto konie i żołnierzy, wziętych ze stacji kolejowej, odesłaliśmy z powrotem zaraz po przybyciu. Toż samo uczyniliśmy teraz i z kozakami, których nam z uprzejmości swojej przysłał konsul, powołujący się na fakt niedawnego napadu chunchuzów. Najęliśmy natomiast dwie arby dla przewiezienia nas nad brzeg rzeki, gdzieśmy mieli już umówionego właściciela dżonki, mającej dowieść nas

do st. Fulardi, odległej od Cycykaru w linji prostej o 25 wiorst, a rzeką Nonni—35 wiorst.

Nieszczęście mieć jednak chciało, że w nocy, poprzedzającej odjazd, spadł obfity śnieg i temperatura obniżyła się do zera. Znając wstręt chińczyków do zimna, zaczęliśmy się obawiać, czy projekt powrotu łódką nie spełznie na niczem, wobec możliwości odmowy przewoźników. Istotnie, kiedyśmy przyjechali nad brzeg rzeki, na dżonkach nie było żywego ducha. Wszystko to się pochowało do ziemianek, których kilka stało na brzegu. Chcąc zasięgnąć języka, weszliśmy do jednej z nich. Już od progu objął nas słodki i mdły zapach opjum. Na szerokim kanie, zajmującym połowę izby, leżało czterech palaczy opjum. Jeden już spał, dwaj inni palili zawzięcie, nie zwracając na nas żadnej uwagi i śledząc ociężałym, błędnym wzrokiem równomierne nagrzewanie fajki nad małą lampeczką olejną. Czwarty, najmniej jeszcze odurzony, przemówił, ale tylko po to, ażeby nas uprzedzić, że on nie pojedzie, bo „nie ma czasu.”

(C. d. n.)

Żuk „poświętnik”.

Słynny przyrodnik Ehrenberg, opowiadając o swoim pobycie w Kyrenaice, żyznej niegdyś miejscowości Barki, prowincji Tripolisu w Afryce, pisze:

„Długo już w pełnym uzbrojeniu stałem śród strasznej pustyni, grobową swą ciszą zabijającej wszelkie życie, i tylko okrzyki leżących dokoła wielbłądów i ciężki oddech śpiących towarzyszów podtrzymywały we mnie świadomość bliskości żyjących istot. Głęboka, nieznana u nas, ciemność bezksiężycowych nocy pustyni przerywana była tylko spadającemi licznie gwiazdami. Przenikając słuchem ciszę śmiertelną, nagle zbudzony zostałem dziwnym szmerem, wychodzącym tuż obok mnie z piasczystej ziemi.

Starannie obejrzawszy dubeltówkę, zbliżyłem się do miejsca, skąd szmer pochodził. Wiedziałem, że nieraz beduini, podobni wężom, podpełzając na brzuchach, wykonywają podstępne napady. Chciałem już zbudzić towarzyszów, gdy znów ten sam szmer z wielu miejsc dokoła począł mnie dochodzić. Wytężonym wzrokiem przeszywając ciemności, rozpoznałem toczące się po ziemi kule, 3 — 4 cali wielkości jak się okazało, zbite z wilgotnego piasku. Przy świetle latarki, którą przyniosłem z namiotu, znalazłem pod każdą kulą dużego czarnego chrabąszcza, który z niezwykłą szybkością toczył zrobioną przez siebie gałkę.“

Chrabąszczem tym, z którym Ehrenberg w tak oryginalny sposób się zapoznał, był żuk „poświętnik“ nazwy łacińskiej *Ateuchus sacer,* który w szeregu zwierząt odgrywał znaczną rolę u starożytnych egipcjan. Należy on do grupy koprofagów, t. j. do tych żuków o wachlarzowatych rogach, które żyją przeważnie gnojem i gnijącemi odpadkami; z tej grupy najbardziej znanym jest żuk koński, gnojownik.

Żuki pigularze *(Sisyphus)* z pomocą nóg kręcą swe gałki, składają w nich jaja i zakopują. W gałkach rozwijają się poczwarki, żywiące się gnojem, a z nich wychodzą młode żuki.

Ponieważ żuk „poświętnik“, kręci również gałki, przypuszczano dotychczas, że on składa w nich swe jaja. Badacze, nie wierząc tym opowiadaniom, porozcinali setki gałek i nigdzie nie znaleźli ani śladu poszukiwanych jajek. Zdumieni tem, poczęli hodować poświętniki, które istotnie kręciły gałki, ale jaj w nich nie składały.

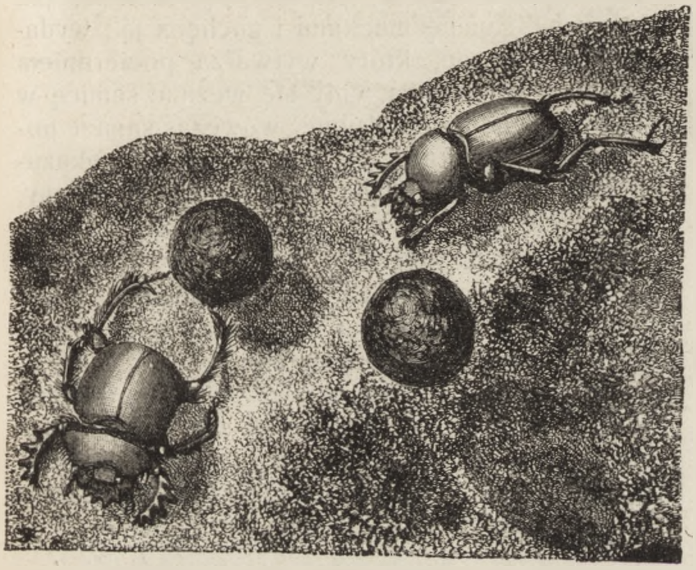
Słynny entomolog Fabvre w Avignonie śledził rozwój i życie tych żuków bez żadnych wyników.

Czego nie mogli dokonać uczeni, to się udało pastuszkowi. Młodemu chłopcu polecono śledzić żuki podczas ich wędrówek.

Otóż pewnego razu malec, ujrzawszy, że się chrabąszcz uniósł nad ziemię, spojrzał na miejsce, które opuścił, i znalazł przedmiot owalny. Jak się okazało, była to właśnie tak dawno poszukiwana, kołyska „poświętnika“.

Następne badania stwierdziły, że żuk ten tworzy dwa rodzaje gałek: jedną, którą toczy po ziemi a służy mu ona za pożywienie, drugą, którą w ukryciu gdzieś z miękkiego gnoju ukręca i używa do przechowywania jaj. Samiec i samica ściągają do dziury podziemnej przez wąz-

kie przejście gnój, samica zbija z niego gałkę, ogładza, wywierca w niej dziurkę, w której sklada jajo i następnie zalepia. Po 12 dniach z jaja wychodzi poczwarka, która zjada zapas miękkiego gnoju, przez gładkie ścianki zewnętrzne zabezpieczonego od zeschnięcia się, i wkrótce przetwarza się w żuka, który z niewoli swej wyłazi, przebijając ścianki. Gdy przekłójemy gałkę, dopókąd znajduje się w niej jeszcze gąsienica,



Żuk poświętnik toczy swoją gałkę.

wysadza ona przez otworek głowę, ale natychmiast ją chowa i dziurkę zalepia sama własnemi wypróżnieniami.

„Poświętnik" znajduje się, oprócz Egiptu, w południowej Francji, w okolicy Montpellier, Marsylji, na brzegach morza Śródziemnego. Pod wpływem ciepła słonecznego rozwija on niepojętą czynność i zawzięcie kręci swe gałki, służące mu za pożywienie; wybiera po temu zwykle odosobnione miejsce i kule te, jak się przekonano, również ukrywa. Na wiosnę i w początkach lata nieraz można widzieć te stworzonka pilnie zajęte pracą: gorliwie wydrapują ziemię, którą tylnemi łapkami gromadzą w kupkę.

„Poświętnik" ma 3 centymetry długości, korpus jego dość jest niezgrabny, szeroką przyłbicę ma zaopatrzoną sześciu zębami, przednie macki są palcowato wyzębione i działają jak haczyki. Tylnemi łapkami, które są długie, wygięte i zakończone ostrym cierniem, trzyma swą gałkę. Posuwa się on tyłem na czterech przednich łapkach aż do chwili, gdy dojdzie do lochu, dokąd wrzuca swą kulę.

Przez zakopywanie gnijących substancji przyczynia się on poniekąd do oczyszczania powietrza i użyźniania ziemi.

Kapłani egipscy upatrzyli w czynności „poświętnika", wiecznie toczącego swą kulę, podobiznę świata i porównali pracę jego z pracą Ozirysa i słońca. Według Porfyrjusza czczono świętego żuka Ateuchusa, jako podobieństwo tej nazwy gwiazdy. W tym znaczeniu spotykamy wielokrotnie postać tego żuka na hieroglifach; olbrzymie jego wizerunki wyrzeźbione są na ścianach świątyń, kolumn i obelisków. W starożytnym Egipcie i Grecji odtwarzano go gliny, z palonej na drogich kamieniach, pieczątkach, pierścieniach, medaljonach, amuletach i innych ozdobach. Jako symbol wędrówek duszy po śmierci, wkładany bywa do grobu. Mumja, którą przywiózł z Egiptu uczony francuski Geoffroy St.-Hilaire, miała przy sobie doskonale zakonserwowanego „poświętnika". Według Pliniusza, magowie i lekarze zawieszali go na lewej ręce chorym na febrę, jako lekarstwo. Niektórzy astronomowie starożytni zastępowali w znakach ciał niebieskich skorpjona greckiego „poświętnikiem". Wreszcie na posągach bohaterów wojny był on symbolem męstwa i odwagi.

Ze wszystkich starożytnych autorów, którzy pisali o świętym żuku, najbardziej wyczerpująco przedmiot ten omówił Harapollo, uczony egipski, żyjący w 4 wieku po Nar. Chr., autor dzieła o hieroglifach. Z pracy tej widzimy, że w owe czasy uważano, iż „poświętniki" są to tylko samce, a gałka dla wydania nowego potomka, musi przez księżycowy miesiąc, t. j. 28 dni, przeleżeć w ziemi.

Osobliwe jednak szczegóły spotykamy w tym pełnym bajek opowiadaniu Harapall'ego. Twierdzi on między innemi, że żuk ten „święty" wydawał promienie, podobne do słonecznych. Otóż



Żuk-poświętnik z hieroglifami w muzeum Brytańskim

na starych zabytkach egipskich znajdujemy często rzeźbione wizerunki poświętnika pozłacane. Francuz Latreille w sprawozdaniu swym o tym „świętym" owadzie przypuszcza, że sześć zębów w jego przyłbicy oznaczało promienie słońca, ale pewne ciekawe odkrycie nasunęło prawdopodobniejszą hipotezę. W r. 1816, podczas podróży swej do Sennaru nad Białym Nilem od-

krył p. Cailland w Meroe innego chrabąszcza, podobnego do *Ateuchus sacer*, posiadającego, jak tamten, sześć zębów na czole; ale, zamiast czarnej barwy, właściwej owadowi Dolnego Nilu, miał on kolor zielonkawo-złoty, odbiciem swym przypominający błyszczące promienie słońca. Zapewne więc dawniejsi egipcjanie, którzy pierwotnie zamieszkiwali okolice Górnego Nilu, oddawali cześć temu złotawemu żukowi, którą następnie, przesiedliwszy się bardziej na północ, przenieśli na czarny, pokrewny owad.

Europa zna tylko czarne gatunki tego żuka. Oprócz *Ateuchus sacer* znajduje się we Francji w tychże samych miejscowościach mniejszy rodzaj *Ateuchus semipunctatus*, również o sześciu zębach na czole, ale o skrzydłach mocniejszych i prawidłowo karbowanych.

Samce zdają się być mniej ruchliwe od swoich towarzyszek, niektórzy też powierzchowni badacze niesłusznie porównali ich do tych indyjskich wojaków, którzy cały ciężar pracy składają na swe żony. Pewien sumienny badacz, de la Brulerie, przywrócił honor samcom, opisując szczegółowo pewien rodzaj tych żuków, znajdujących się w okolicach Malagi w południowej Hiszpanji.

„Widziałem,—powiada ten uczony—jak *Ateuchus cicatricosus* toczy swą kulę. Samica sama spełnia tę czynność, posuwając się tyłem, tylnemi łapkami zaś posługuje się do podtrzymywania swego ciężaru. Samiec z widocznym zainteresowaniem się daje pilną baczność na tę pracę, lecz nie bierze w niej udziału. Gdy jednak stanie jaka przeszkoda na drodze i kula stoczy się z nierówności, trzeba wówczas widzieć, jak się niepokoi samiec, jak się kręci dokoła, jak popycha samicę mackami i zachęca ją, wydając żałosny ton, który wytwarza pocieraniem korpusu o skrzydła. Gdy się weźmie samicę w rękę i nieco dalej odsunie, wówczas samiec podwaja swoje skargi. Samica to rozumie; okazuje zakłopotanie, ogląda się na wszystkie strony, nareszcie orjentuje się, zawraca i szybko, chociaż potykając się, śpieszy po swą cenną zgubę.

Oskarżacie samca, że jest próżniak a jednak niezbędny on jest dla samicy. Odbierzcie go jej, a samica wstrzyma się w swym marszu i stanie ze zwieszoną głową, z najsmutniejszą miną na świecie. Trzyma ciągle swą kulę w objęciach tylnych łapek, ale nie zdoła poruszyć i, gdyby jej nie dodano towarzysza, to jestem pewny, że zginęłaby na miejscu.“

I. N.

PIOTR LOTI.

INDJE.

w przekładzie
JÓZEFA JANKOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Ulice, długie na wiorstę, pod sznur wyciągnięte, szerokie, jak dwa razy nasze bulwary, i zabudowane pałacami, w których fantazja wschodnia urozmaica do nieskończoności budowę. Nigdzie nie spotkasz takiego ryzykownego zestawienia kolumn, takich łuków zwieńczonych, takich wieżyc, balkonów, krużganków. Wszystko to jednakowo różowe, wszystko to jednej barwy materji i kwiatu; a najdrobniejszy zlepek, najdrobniejsza arabeska upiększona białą kreseczką. Na częściach rzeźbionych, rzekłbyś, że przybito białe, cenne koronki i hafty, gdy na częściach płaskich wiecznie ten sam ton kamienia różanego z temi samemi kwiatami zamierzchłemi.

A wzdłuż tych wszystkich ulic snują się tłumy, w oślepiającym bezmiarze kolorów.

Tysiące przekupniów, rozłożywszy na ziemi wystawy tkanin i materji, miedzi i oręża, zaściełają ze stron obu chodniki, a między niemi przeciskają się kobiety w zasłonach, pstrzących się od wielkich deseni fantastycznych, z nagiemi rękoma, otoczonemi aż do ramienia rzędami maneli.

Środkiem alei ciągła defilada: rycerstwa w srebrnych rynsztunkach na siodłach drogo-

lśniących, ciężkich kolowców, ciągnionych przez zebu z rogami barwionemi, wielbłądów, długim sznurem sprzężonych, słoni w czaprakach pozłocistych z trąbami cętkowanemi tysiącem kolorów. Kroczą także dromadery, krokiem lekkim, z szyją wyciągniętą, jak u strusi w locie; na grzbiecie każdego dwoje ludzi; jeden za drugim przeciągają fakirzy, cali nadzy, od stóp do głów osypani białym proszkiem; przesuwają się palankiny i kolebki ręczne: cały Wschód czarodziejski, jak na widowisku pochodem ciągnący, w ramach niewysłowionych tego kamienia różanego, na tle jego.

Ludzie też przeprowadzają na swobodzie królewskie pantery oswojone, by otrzaskać je z tłumami; stąpają one ponure i śmieszne, ubrane w małe czapeczki dziergane, z kokardami na szyi, stawiając jedna za drugą swe łapy aksamitne z ostrożnością ogromną, jakby w obawie, by nie pogniotły jaj. Dla większego bezpieczeństwa trzymają je jeszcze za ogony opierścienione, a czterech służalców, jak świta, postępuje za niemi.

Są tu jednak zarazem i włóczędzy, bardzo żałośliwi,—uciekinierzy grobów i mogiłek, w guście tych tworów, które tam, u wrót murów, spoczęły... Ważyli się wkroczyć do tego pięknego grodu barwy kwiatowej i snuć swe kościska!... Jest ich tu nawet znacznie więcej, niżby się na pierwszy rzut oka zdawało. Ci, co się błąkają, chwiejąc się, z oczyma oszalałemi, niejedni tutaj: na bruku, pośród przekupniów, pośród wystaw radosnych, ukrywają się straszne zwiniątka łachmanów i szkieletów, zmuszając przechodniów do zbaczania, by nie stąpać po nich... Widma te to—włościanie z równin okolicznych. Od czasu, jak deszcz nie pada, walczyli z zagładą gleby, a długie męczarnie urabiały ich do tej chudości bez nazwy. Teraz — koniec już. Bydło wyzdychało, bowiem już trawki nie zdybiesz, a skórę z niego za grosz marny sprzedali. Co do pól, które z trudem zasieli, step dziś z nich tylko skruszały, spalony, na którym nic już nie wzejdzie. Sprzedali też, by kupić łyżkę strawy, manatki, któremi się okrywali, srebrne obrączki, które nosili na rękach i na kostkach. Chudli i marnieli całemi miesiącami, potym głód przyszedł na dobre, głód ćwiartujący—i wioski napełniły się wonią trupów.

Jeść! jeść łaknął lud ten — i oto dlaczego pociągnęli ku miastu. Zdawało im się, że tu litość mieć będą, że nie dadzą im umrzeć, słuch bowiem szedł okolicą, że tu, jak na czas oblężenia, zgromadzono zboża i mąki—i że tu, w tych murach, ludzie jedzą!

Istotnie, wozy, zaprzężone bykami, sznury wielbłądów co godzina przywożą tu wory ryżu i jęczmienia, przez króla z dalekich stron zamówione, i to się zsypuje w spichlerze lub nawet na chodniki, z obawy głodu następującego, ze wszech stron grożącego ślicznemu grodowi różaności. Lecz to się kupuje—i trzeba na to pieniędzy. Król wprawdzie rozdał coś ubogim, zamieszkującym stolicę. Lecz, żeby przyjść z pomocą włościanom, którzy konają tysiącami na równinach okolicznych, na to nie starczy zapasu; zaniechano więc ich. Błąkają się tedy po mieście, dokoła miejsc, gdzie ludzie jedzą, w nadziei, że rzucą im choćby kilka ziaren ryżu; a potem przychodzi godzina, kiedy się kładą, gdzie wypadnie, twarzą do tego samego bruku, by umrzeć.

W tej chwili krzątają się koło uprzątnięcia chodnika, prawdopodobnie przed spichlerzem pełnym po brzegi, by złożyć na nim sto worów zboża, które przyholowały wielbłądy; w tym celu trzeba uprzątnąć trzech chłopców, trzy szkielety, od pięciu lat do dziesięciu, którzy spoczywali razem na tym miejscu przygodnym.

— Są to trzej bracia;—tłomaczy sąsiadka— rodzice, którzy ich tu przyprowadzili, umarli (rozumie się: z głodu); są więc tu, pozostali, nie mają nikogo.

I zdaje się znajdować to bardzo naturalnem — ten twór ludzki, który poza tem nie ma wcale wyglądu kobiety niegodziwej!... Boże wielki! Cóż to za naród! Jak urobione są dusze tego ludu, który za nic w świecie nie zabije ptaszka, lecz który przed swym progiem widzi dzieci mrące i tym się nie wstrząsa!

Z NASZEGO KONKURSU FOTOGRAFICZNEGO.
(Zdjęcie p. Mikołaja Kuścińskiego z Mikołajowa).



Borówka (o 8 wiorst od Lepla).
Obfite źródło czystej wody przepływa przez dwie kapliczki. Lud okoliczny przypisuje tej wodzie własności lecznicze, zwłaszcza w cierpieniach oczu.

Najmłodszy z trojga zdaje się najbliższym skonu. Jest bez ruchu, nie ma sił nawet spędzić much, które się przylepiły do skrajów rzęs zemkniętych; rzekłbyś, że brzuch jego jest tak pusty, jak zwierzyny, oprawionej na pieczyste a kości biodrowe tego drobiazgu przebiły skórę na wylot, ciągnąc z wysiłkiem tułów po bruku ulicznym.

A więc trzeba się przenieść, by zrobić miejsce tym worom zboża, które przywieziono. Najstarszy podnosi się, bierze z czułością na plecy najmniejsze maleństwo, ujmuje za rękę drugie, które jeszcze może stąpać, i tak idą, milczący.

Tymczasem oczy najmniejszego otworzyły się na mgnienie. Ach! to spojrzenie męczeństwa bez winy! I ta bezgraniczność rozpaczy, wyrzutu, zdumienia takiej niedoli, takiego opuszczenia i takiego cierpienia bez granic! Zamyka jednak szybko te oczy mrące; muchy znów się przylepiają i drobna główka upada na wątłe ramię starszego, który je niesie.

Chwiejąc się nieco, bez łzy atoli, bez szemrania, cudny w swej rezygnacji i godności dziecięcej, uprowadza braci ów najstarszy, który poczuwa się do przodownictwa w rodzinie. Następnie, obejrzawszy się, czy jest już dostatecznie daleko i czy nie będzie nikomu zawadzał, składa z ostrożnością bezgraniczną główkę maleństwa na kamienie i sam się obok rozciąga.

Na placu środkowym, gdzie zbiegły się najpiękniejsze ulice, przepych szczególny tego grodu pięknego dochodzi do efektów krańcowych. Różane cale, aż do szczytów najwyższych, jak cisy olbrzymie różowe, kwiatami białemi przystrojone, piramidy świątyń bramińskich, w niebo obłoków wystrzelające, aż tam, gdzie kołowroty ptactwa czarnego. Różany, kwieciem białym usiany, fronton pałacu królewskiego, przewyższający frontony naszych kościołów katedralnych, cały z powtórzeń, nagromadzeń setek kiosków podobnych do siebie, z temi samemi kolumnadami, z temi samemi kratami, z temi samemi kopułami złożonemi, tam, u szczytu, ze sztandarami barw królewskich, któremi wiatr suchy łomoce w powietrzu. Różane w białe kwiecie pałace, domy, ze wszech stron pod linję biegnące aż do najdalszych wylotów ulic.

Na placu tym tłum najbardziej przystrojony w klejnoty, najbardziej ożywiony i szumny, w całej rozmaitości barw świątecznych. Liczniejsi tu i tułacze głodowi, osobliwie biedne, drobne maleństwa, bowiem pośrodku tego placu pieką pod niebem otwartym placuszki ryżowe, ciastka z cukrem i z miodem,—i to je przyciąga. Nie dostaną, rzecz prosta, stoją tu jednakże, drżący cali z osłabienia na drobnych nóżętach, z oczyma płonącemi żądzą tych łakoci.

(C. d. n.)

LEOPOLD JANIKOWSKI.

Z podróży do Afryki.

(Ciąg dalszy.)

Jeden z wioślarzy próbował wylądować i rozpalić ognisko na wystających korzeniach drzew. Brnąc po pas w wodzie, nabierał suchych gałązek, ułożył stos, poprzenosił garnki z ryżem, na ostatku zaś niósł baryłkę z wodą—dumny, iż postawił na swoim i da nam gorącą kolację. W chwili, gdy już był niedaleko suchszego miejsca, słyszymy jakiś plusk w szlamie: to krokodyl spłoszony zbliżał się, czy też oddalał. Murzyn, przestraszony, rzuca beczułkę i w nogi na najbliższe drzewo. A my, siedząc w łodzi, widzimy z rozpaczą, jak jedyny nasz zapas wody pogrąża się coraz więcej w błocie i ginie tam wreszcie zupełnie. Suchary więc i wódka były jedynym posiłkiem, poczem zabraliśmy się do snu. Ławki szalupy zastępowały łóżka.

Niestety, pomimo znużenia, zasnąć było niepodobieństwem: roje komarów otoczyło nas; twarz, ręce, szyja, w jednej chwili paliły jak ogień, nabrzmiałe od ukąszeń. Przemęczywszy noc, dopiero nad ranem, gdy wszedł księżyc, mogliśmy się puścić w dalszą drogę, *creekiem* przeciwnym rzece Kameruńskiej.

Ze wschodem słońca rzeka stawała się więcej ożywioną. Stada dzikich kaczek, papug, zielonych gołębi, przelatywały z krzykiem ponad naszemi głowami. Czasem jakiś ciemny, niekształtny punkt wychylał się z wody—to głowa hipopotama, która chowała się natychmiast, spostrzegłszy z dala łódź naszą.

W miarę podnoszenia się słońca upał stawał się coraz większym. Pragnienie dokuczało bardzo, w dodatku niepokoiła niepewność, jak prędko wydostaniemy się z *creeków* i wpłyniemy na słodką wodę rzeki Mungo. Około południa spostrzegamy pirogę przed sobą, lecz w znacznej odległości, gonimy ją, aby zapytać się o drogę, wioślarze wytężają siły, płyniemy nadzwyczaj szybko, lecz krajowcy, w obawie przed nami, uciekają. Gonitwa trwa ze 2 godziny. Jeden z naszych ludzi krzyczy w miejscowym narzeczu, to uspokaja krajowców — przystają.

Właściciel pirogi, kameruńczyk chciwy i chytry, odmawia objaśnień, dopóki nie dostanie wódki—dajemy butelkę—wtedy powiada nam, iż jesteśmy na dobrej drodze, gotów nam służyć za przewodnika, lecz żąda 1 „keg" czyli 10 jardów tkaniny. Dajemy 2 jardy—odmawia. Jakiś czas płyniemy razem, wreszcie w miejscu, gdzie się drogi rozchodzą, kameruńczyk, widząc, iż wpływamy na właściwą, dobija targu za 4 jardy i przesiada się do naszej szalupy.

Creek się coraz zwęża, zamiast długich wioseł, zmuszeni jesteśmy posługiwać się krótkiemi pagajami krajowców. Roślinność też inna — zamiast jednostajnych lasów mangrowi, pyszne, olbrzymie bambusy. Sterowanie tu niełatwe, łódź prawie ciągle musi płynąć zygzakiem, aby nie zawadzać o gałęzie, wystające nad wodą.

Spotykamy pirogę z winem bambusowym i kupujemy, płacąc po 1 liściu tytoniu za butelkę. Napój tani i bardzo smaczny a dla nas, spragnionych, był wtedy prawdziwym nektarem. Coraz większy ruch na *creeku*, liczne tu plantacje trzciny, kukurydzy, koki. Ludzie powracają z roboty do domów. Co chwila z jakiegoś drobnego dopływu wysuwa się piroga krajowa i zatrzymuje, zdziwiona widokiem białych. Spotykamy też kameruńczyka, który w lilipuciej pirodze wiózł proch i inne towary.

Łódka jego była tak maleńką, iż literalnie nie było miejsca na nogi wioślarza, siedział więc w końcu łodzi, podobnie jak na koniu, mając nogi po kolana zanurzone w wodzie; pomimo to lekka łupinka sunęła jak strzała i wkrótce straciliśmy ją z oczów. Ten sposób jednak podróżowania niebardzo jest bezpiecznym wobec znacznej ilości aligatorów.

Nareszcie, po południu, wpływamy na zupełnie słodką wodę i wkrótce ukazuje się nam terytorjum miast Mungo. W tej chwili ukazuje się kilka dużych łodzi, które zagradzają nam drogę. Kacyk główny wyjeżdża naprzeciwko, zapytując się, dokąd jedziemy? Zaprasza do swego miasta. Powiadamy z góry, iż zatrzymamy się bardzo krótko, tylko dla przygotowania posiłku. Ponieważ w tym miejscu rzeka płytka, tłum czarnych rzuca się do wody, chwyta naszą łódź za borty i chce prowadzić. Szalupa, cofnięta raptownie z prądem wody na głębię, uwalnia się od nieproszonej pomocy; płyniemy znów swobodnie a krajowcy eskortują naokoło w swych pirogach, śród głośnych i niebardzo życzliwych okrzyków. Przybijamy w ten sposób do wybrzeża pierwszego miasta.

Położenie śliczne. Miasto Mungo, rozrzucone na wielkiej przestrzeni po obu brzegach, tworzy jakby oddzielne kolonje. Otacza nas w jednej minucie rój krajowców.

Wszyscy się cisną ciekawie, jedni drugich spychają do wody: krzyk, rejwach, czysty jarmark. Pomiędzy krajowcami Mungo spostrzegamy wielu kameruńczyków. Tych trzeba się strzedz najbardziej, gdyż to zawołani złodzieje. Od dziecka się uczą kraść. Dzieciak, złapany na uczynku i odprowadzony do ojca, odbiera surową karę, za to.. że kradł niezręcznie. Pilnujemy więc naszych pakunków i nie wysiadamy z szalupy.

Król zbliża się, prosząc o wódkę i tytoń, dostawszy je, odchodzi, mrucząc; zapewne myśli sobie: „Gdybym się was nie bał, zrabowałbym wszystko bez proszenia"!

Murzyni, na widok tytoniu, zaczynają znosić prowiant na zamianę: owoce, różne jarzyny, ryby wędzone. Jak zwykle, z początku się drożą, później za jeden liść lub suchara oddają po 3 piękne ryby. Wysyłamy jednego z ludzi, dla ugotowania obiadu do miasta. Przez ten czas zwiedzam trochę okolicę bliższą. Miasto główne ma 2 ulice, zabudowane w 2 rzędy porządnemi domami. Jedne z domów są obrzucane gliną, inne mają ściany z grubych, plecionych mat. Mieszkańców przeszło 400. Dalsze miasta są właściwie tylko oddziałami pierwszego. Zależne wszystkie od głównego króla—rządzone zaś przez własnych naczelników.

Wstępuję do domu królewskiego. Niczym nie różni się od innych budynków, chyba wielkością. Zastałem jego królewską mość przy posiłku i butli z wódką, jaką niedawno otrzymał w prezencie. W otoczeniu kilkunastu młodych małżonek, raczył się nektarem. Człowiek to

już niemłody, wysoki, o spojrzeniu dzikim, nieufnym, ubrany był w czarny tużurek, cylinder, na szyi zaś miał zawieszony długi hiszpański pas ponsowy, dostał go w prezencie od białych i nie wiedział użytku.

Na skinienie swego pana, królowe urządziły mi rodzaj honorowego siedzenia na jakimś stołeczku, okrytym materją; przed nim zaś—rodzaj improwizowanego stołu z pudełka, podobnie okrytego. Podały wino palmowe, orzechy kokosowe i inne owoce Starały się być na swój sposób gościnne. Małżonek zapraszał, lecz ruszać się już nie mógł, uraczony wódką.

Wywdzięczając się za gościnność, rozdałem pewną ilość kolczyków, naszyjników, bransoletek ze szkieł czeskich, oraz pomady. Powracam do łodzi, obdarowany jeszcze na drogę owocami. Orzechów kokosowych wielka tu obfitość, całe lasy palm, gdyż grunt odpowiedni, t. j. nad wodą i piaszczysty. Kokosy nie lubią dobrej ziemi. Również bardzo wiele drzew mangowych. Krajowcy, oprócz wyrobu oleju i handlu z głębią lądu, oddają się rybołówstwu. Ryb mnóstwo i bardzo dobrych gatunków, wędzą je i sprzedają buszmanom zamieszkującym lasy, lub też kameruńczykom, którzy towar zabierają całemi łodziami i rozwożą po miejscowościach różnych, gdzie połowy ryb mniejsze. Suszą też drobne rybki na słońcu. Powietrze wtedy bardzo niezdrowe, przepełnione miazmatami gnijącego mięsa. Z dala już ów przykry, ostry zapach zapowiada blizkość osady rybackiej.

Chcąc jaknajprędzej opuścić niby gościnne lecz niebardzo bezpieczne miasto, zabieramy obiad do szalupy i postanawiamy zaraz płynąć dalej. Król namawia naprożno na nocleg. Posyłamy mu małe podarki: dużą miednicę mosiężną, sztuczkę materji, tytoniu i pereł. Odsyła, obrażony, iż to za mało, widząc jednak, iż zabieramy się do odjazdu—przyjmuje. Przyrzekamy mu na przyszłość większe podarki i rozstajemy się w zgodzie. Następuje zwykła żebranina otaczających. Jeden prosi o tytoń, drugi o wódkę, suchar, świecę, wreszcie któryś żąda piwa, chcąc się pochwalić, iż pił je niegdyś z białemi. Setki rąk wyciągniętych i chór głosów: „podarek, podarek"!

Rzucamy na wybrzeże trochę tytoniu i świecideł, tłum ciska się na nie a my, uwolnieni od natrętów, odpływamy, zadowoleni z przebycia szczęśliwie najgorszego miejsca. Mogli nas tu łatwo zatrzymać, nie puścić dalej. Król Mungo jest potężny, drwi sobie nawet z władzy Bella i często, wskutek jakiego zatargu, zamyka rzekę dla kameruńczyków. Ojciec teraźniejszego króla zatrzymał razu pewnego misjonarzy angielskich, zrabował im pakunki, poczem, dawszy eskortę ze swych poddanych, odesłał do Wiktorji.

Straciwszy miasta z oczów, przystanęliśmy dla zjedzenia obiadu. Wszyscy byli zgłodniali i znużeni, od wyjazdu bowiem, t. j. od dwóch dni, był to pierwszy ciepły posiłek.

(C. d. n.)

Książki i Czasopisma.

Bibljoteka naukowa. (Dwutygodnik). Pod tym tytułem wychodzi obecnie „Bibljoteka samokształcenia", ponieważ ten tytuł wielu wprowadzał w błąd, nasuwając domniemanie, że pismo jest przeznaczone dla czytelników z bardzo średnim wykształceniem. Program pozostał ten sam: więc w 1-ej części artykuły naukowe ze wszystkich dziedzin wiedzy, w 2-ej—dzieła i studja obszerniejsze. Numer 15-ty, pod zmienionym już tytułem, zawiera artykuły: Jana Tura „Nauka ścisła a wiedza tajemna", J—ba L—cza „Doniosłość zagadnień filozoficznych dla każdego myślącego człowieka", H. Moutona „Z życia społecznego Danji"; w dodatku książkowym ciąg dalszy dzieła d-ra Ludwika Brunera „Pojęcia i teorje chemji".

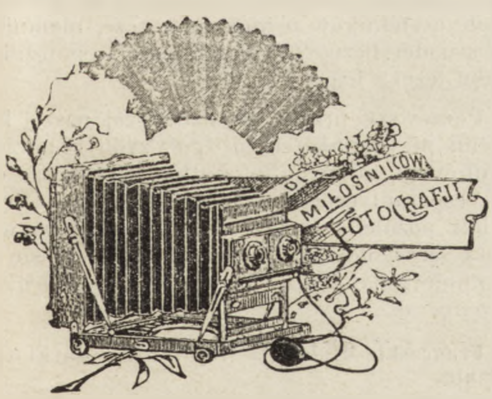
Nowe Słowo. (Dwutygodnik społeczno - literacki, wychodzący w Krakowie z debitem w Królestwie Polskim). „Podczas wakacji z powodu rozproszenia się stałych spółpracowników, wychodzi raz na miesiąc, 15-go, w podwójnej objętości"—jak zaznacza redakcja— i nie wpływa to ujemnie ani na wartość pisma, ani na usposobienie dlań czytelników. W naszych warunkach inowacja taka (szeroko praktykowana i za granicą) nie mogłaby mieć zastosowania, gdyż rozgoryczyłaby czytelników: są to, przeważnie, sędziowie surowi i niewyrozumiali... (Mówimy o czytelnikach, nie przedpłatnikach; właśnie ci, którzy nie dają nakładu na pismo, są najbardziej wymagający.)

Marja Turzyma rozpoczyna swe studjum o „Harmonji społecznej" rozdziałem właśnie, poświęconym... walce płci. S K. kończy sprawozdanie z międzynarodowego kongresu kobiecego w Berlinie. Przekład monografji B. Z. Hutschins podaje ciekawe dane o pracy kobiet pod angielskim prawem fabrycznym. Anna Gru-

dzińska stwierdza doniosłość światła dziennego dla rozwoju umysłowego i fizycznego dzieci. Stanisław Krauz pisze o szkołach zamiejskich. List otwarty w sprawie służących przesyła „Inna". Anna Grudzińska kreśli obrazek „Śród zaspy". Dr. Zofja Daszyńska-Golińska przytacza charakterystyczne wyjątki z ławniczych ksiąg spornych, tyczące się kobiet, posądzonych w wieku XVIII o czary. Roman Jaworski rzuca doniosłe zagadnienia w nowelce „Śmierć Adama Zawirowskiego" P. t. „Powieść z dawnych czasów" St. Lack rozstrząsa „Popioły" Żeromskiego. T. Miciński upięknia łamy wdzięcznemi strofami z cyklu „Tatry". W. Mitarski daje „fragment dramatyczny" oryginalnej formy. St. Lack dosnuwa wątku gruntowego rozbioru „Legendy" Wyspiańskiego. „Nowe Słowo" daje obfitą karm umysłową czytelnikowi o szerokiej kulturze.

Wiadomości fotograficzne (lwowskie). Zeszyt 15-ty. D-ra Henryka Mikolascha: „Barwne obrazy fotograficzne", A. Siołkowskiego z Chicago „Wybór motywu", opis wystawy fotograficznej w Wiedniu, drobne przepisy i „Rozmaitości"—oto zawartość nowego zeszytu, ozdobionego 3-ma, doskonale wykonanemi, światłodrukami.

—l —n.



Przechowywanie płyt. Oznaką płyt zleżałych jest t. zw. zamglenie brzegów, które, po wywołaniu płyty, występuje od brzegu ku środkowi. Powód tego zamglenia przypisują niektórzy działaniu światła, czyli raczej pewnym, w świetle znajdującym się, promieniom o wielkiej sile działania na wskroś, inni natomiast przypisują je działaniu powietrza. Zwykłe płyty po 5 do 6 miesiącach okazują już to zamglenie, ortochromatyczne znacznie wcześniej.

Największym nieprzyjacielem zleżałych płyt jest wilgoć, chociaż i pewne gazy, światło i bakterje działają również szkodliwie na trwałość przechowywanych płyt w pudełkach tekturowych. W wielu składach przechowuje się płyty na wysokich półkach, sięgających do sufitu. Tymczasem gorąca, zepsutem powietrzem i gazem oświetlonego lokalu, przepełniona atmosfera jest właśnie pod sufitem dla płyt najszkodliwszą. W podobnych warunkach daleko lepiej trzymają się płyty, przechowane na dole nad podłogą. Szczególniej zanieczyszczone powietrze zdaje się oddziaływać na płyty szkodliwie, co przypisywane bywa siarkowaniu srebra zawartego w emulsji.

Przedewszystkim jednakże, jak to już wyżej wspomniano, należy ochraniać płyty przed wilgocią, dlatego trzeba je przechowywać w suchym miejscu, a w okolicach wilgotnych nawet w blaszanych puszkach. Wyborne usługi oddają naczynia z chlorkiem wapnia (Calcium chloratum). Płyty, przechowywane w nich, choćby ortochromatyczne, trzymają się dobrze latami. Gorąco jest również dla płyt szkodliwe.

Jeszcze większej ostrożności wymagają błony szczególniej z cellulozy. W wilgotnych okolicach należy je przechowywać w hermetycznie zamkniętych puszkach blaszanych.

„Lw. Wiad. fotogr."

Papier do kopiowania rysunków, planów i t. p. W jednej z amerykańskich wielkich fabryk maszyn od wielu lat używają następującej metody. Płyn naczulający składa się:

z wody	100 cm³.
soli kuchennej (Natrium chloratum) . .	2 g.
chlorku żelazowego (Ferrum sesquichloratum)	8 „
kwasu winowego (Acidum tartaricum) .	3·25 „
wyciągu akacjowego	25 „

W jednej połowie wody rozpuszcza się wyciąg akacjowy, w drugiej reszta substancji. Oba płyny miesza się razem i pociąga tą mieszaniną papier za pomocą pędzla. Po wyschnięciu naświetla się 2–3 minut w słońcu. Wywołuje się w nasyconym roztworze żelazocjanka potasowego (Kalium ferrocyanatum) najdłużej przez 1 minutę. Utrwala się w roztworze:

wody	100 cm³.
kwasu siarkowego (Acidum sulfuricum) .	3 g.
kwasu solnego (Acidum hydrochloricum)	8 „

Wreszcie płócze się i suszy.

„Lw. Wiad. fotogr."

Nowe płyty Lumièra. Wyrabiane dotychczas płyty z fioletową etykietą posiadały grube ziarno, jako następstwo niezwykłej czułości. Obecnie udało się br. Lumièrom usunąć ten błąd. Pod nazwą „Sigma" wyrabiają teraz płyty o tej samej czułości, co zaopatrzone marką L„ które posiadają natomiast nadzwyczaj delikatne ziarno i odznaczają się wielką odpornością przeciw światłokręgom.

„Lw. Wiad. fotogr."

Nowy sposób barwnych fotogramów A. i L. Lumièrów. Bracia Lumières przedłożyli paryskiej Akademii Umiejętności nowy sposób barwnej fotografii, zasadzający się na następujących podstawach. Płytę, powleczoną masą lepką, naprósza się bardzo miałką mączką krochmalu, zabarwioną w odpowiednich stosunkach na pomarańczowo, zielono i fioletowo, warstwą oddzielającą zaś te barwiki jest miałki proszek węgla drzewnego. W ten sposób uzyskany filtr barwny pociąga się bardzo cienką warstwą lakieru, a na tę warstwę kładzie się emulsja panchromatyczna z bromkiem srebra. Płyta, tak przyrządzona, naświetla się z odwrotnej strony, t. j. od szkła, aby promienie światła mogły przejść przez filtr barwny, zanim rozpoczną działać na emulsję czułą. Płyty te, wywołane w sposób zwykły, dają negatyw w przezroczu w dopełniających barwach zdjętego przedmiotu. Rozpuszczając natomiast zredukowane srebro i wywołując nienaświetlony bromek srebra, otrzymuje się odwrócenie obrazu i równocześnie obraz okazuje się w barwach właściwych.

„Lw. Wiad. fotogr."



ROZMAITOSCI.

Wymowa liczb. W rozmowie potocznej nieraz rzucamy wyrazy: miljon, miljard, nie zdając sobie sprawy z tego, o jakie to chodzi liczby, co to za olbrzymia liczba miljon!

Na kuli ziemskiej zamieszkuje półtora miljarda ludzi, mówiących 3064 językami. Odsetka śmiertelności jest taka, że, na 1000 urodzonych dzieci, przed siedmiu laty umiera aż 250, do 17 roku aż 500, a więc połowa tylko z tysiąca dzieci dochodzi do wieku lat 17. Z pozostałych 500 osób zaledwie 60 dochodzi do wieku lat 60-ciu, a tylko dwoje dochodzi do 80-go roku życia. Rocznie umiera ludzi 33 miljony, a zatem codziennie 91,000, w każdej godzinie 38.000, a zatem co sekunda umiera człowiek. Średnio życie trwa 30 lat. Ubytek zaś wyrównywa się przez liczbę urodzeń, przewyższającą liczbę śmierci o 8 miljonow rocznie.

Listonosz wiejski średnio przechodzi dziennie 18 kilometrów; licząc na każdy krok 72 centymetry, robi on dziennie 11,112 kroków, miesięcznie 504 kilometrów, czyli 311,136 kroków, a rocznie 6,048 kilometrów czyli 3,733,632 kroków, przyczym miesiące liczono po dni 28. Po ukończeniu 45 lat służby, listonosz wiejski przeszedł 272,160 kilometrów drogi, zużywając na to 130.677,000 kroków. Pociąg kurjerski o prędkości 80 kilometrów na godzinę potrzebowałby na przebycie takiej przestrzeni 141 dni i 18 godzin. Pewien bogacz—oryginał, którego uratował od śmierci przy pożarze jakiś ubogi młodzieniec, chcąc się mu wywdzięczyć, miał go uczynić bogatym. Wezwał go więc do siebie i oświadczył, że chce podarować mu cały miljon marek, lecz pod warunkiem, że pieniędzy nie odbierze odrazu, lecz po jednej marce, ile razy po nią przyjdzie. — Ile lat liczysz?—zapytał się młodzieńca.—25—brzmiała odpowiedź.—Dobrze, w przeciągu kilku lat zbierzesz sobie obiecany miljon. Młodzieniec, mieszkający w odległości kilometra od swego dobroczyńcy, przyszedł po pierwszą markę, zaniósł ją do domu i powrócił po drugą, potym po trzecią i tak dalej: pierwszego dnia 20 razy zrobił tam i napowrót po kilometrze, a wieczorem miał 20 marek. Spacer taki robił on co tydzień przez 6 dni z rzędu, a w niedzielę odpoczywał. Całych 50 lat przepędził on w taki sposób, a jednak do miljona marek było jeszcze daleko! Doszedł on do wieku lat 77, a więc przez pół stulecia odbywał 20 razy dziennie przez 6 dni na tydzień swoją wędrówkę po marki. Razem chodził przez 52 lata 8 miesięcy i dni 16 do swego dobroczyńcy 20 razy dziennie i jął obliczać swój dochód: pokazało się, że zebrał dopiero sumę 354,240 marek, przyczym przeszedł 708.480 kilometrów drogi. Aby zebrać cały miljon obiecany, byłby musiał chodzić 148 lat 9 miesięcy i 20 dni, droga przebyta wynosiłaby wtedy 2 miljony kilometrów, czyli 10 razy tyle, ile oddalenie ziemi od księżyca.

Podług Gustawa Fraenkla.

Kronika Esperantyczna.

„Progresado estas vivo." „Restado estas morto."

„Grupy", „Kluby", „Towarzystwa" Esperantyczne.

Gdy, w listopadzie roku zeszłego, rozpoczęliśmy naszą *Kronikę Esperantyczną*, mieliśmy zamiar wszelkie wiadomości tej dziedziny grupować w porządku abecadłowym. Pragnęliśmy tym sposobem opracować z czasem coś w rodzaju *Encyklopedji Esperantycznej*. Układ ten jednak, a raczej forma podobna naszych „*Kronik*", ze względu, iż pismo nasze nie może im poświęcić więcej miejsca — okazała się niepraktyczną.

Już sam tylko wykaz Towarzystw Esperantycznych zajął nam, stosunkowo, ogrom miejsca i czasu, nie pozwalając tym samym informować jednocześnie naszych czytelników o innych jeszcze, niemniej ważnych, a nader licznych, faktach coraz to potężniejszego rozwoju języka Esperanto.

Począwszy przeto od dzisiejszej naszej kroniki, będziemy, nie krępując się już zgoła żadnym porządkiem abecadłowym, notować wszystkie ważniejsze objawy ruchu esperantycznego w ten tylko sposób, by, prędzej lub później, z nader obfitej a różnobarwnej tej mazajki szczegółów z łatwością już udało się ułożyć ową zamierzoną przez nas pierwotnie „*Encyklopedję Esperantyczną*".

Francuskie Ministerja Wojny i Marynarki o języku: Esperanto.

Jednym z najbardziej znamiennych faktów w sprawie języka Esperanto, nieznanych naszym czytelnikom, są odezwy francuskich ministrów wojny i marynarki, z których pierwsza brzmi, jak następuje:

Cabinet du Ministre.
Correspondance générale

Autorisation de faire partie de groupes constitués pour la diffusion.

Republique Française
Paris, 10 Novembre 1903.

Le Ministre de la Guerre à Monsieur le Général Commendant le 19-e Corps d'Armée à Alger.

Treść samej odezwy podajemy w tłomaczeniu:

„18-go października r. b. przesłałeś mi Pan prośbę kapitana Augusta Cape, adjunkta dyrekcji artylerji naszej w Algierze, o urzędowe upoważnienie tegoż kapitana i jego kolegów-oficerów do udziału w propagandzie na rzecz języka pomocniczego, międzynarodowego Esperanto i o pozwolenie im na wstępowanie do istniejących już Towarzystw Esperantycznych, oraz na założenie takiegoż Towarzystwa w Algierze.

Mam zaszczyt zawiadomić Pana, że, pragnąc przyczynić się do rozwoju pomocniczego języka międzyna-

rodowego, upoważniłem już 12 b. m. wszystkich naszych oficerów i podoficerów, którzy tego zapragną, do zapisywania się na członków *francuskiego Towarzystwa Propagandy język a Esperanto* i wszelkich innych Towarzystw Esperantycznych.

Okólnik, który ukaże się niezwłocznie w „*Bulletin Officiel*" — decyzję tę poda do wiadomości interesowanych.

Racz więc Pan poinformować o tym kapitana A. Capé."

W kilka znów tygodni później „*Journal Officiel*", z 20 grudnia 1903 roku, ogłosił, że i Ministerjum Marynarki, podobnież, jak Ministerjum Wojny, zezwoliło odpowiednim okólnikiem, na prośbę głównego swego inżeniera p. Rollet de l'Isle, wszystkim oficerom marynarki francuskiej brać udział w propagandzie języka Esperanto i przystępować do Towarzystw Esperantycznych.

Bezpośrednim następstwem obu tych okólników jest dziś ogromny wzrost liczby członków francuskich Towarzystw Esperantycznych, którym co chwila przybywają — oficerowie różnych stopni i pułków.

A. B B.



Do Czytelników „Naokoło świata".

Komitet Kasy pomocy fotografów warszawskich przystępuje do układania warszawskiego kalendarza fotograficznego na rok 1905. Ze względu na pożądane wzbogacenie treści różnorodnemi artykułami, komitet ośmiela zwrócić się do czytelników „Naokoło Świata" z prośbą o zakomunikowanie swoich notat, uwag, recept, przepisów, opisu wynalazków, oraz artykułów, tyczących się w ogóle fotografji, które nadałyby się do umieszczenia we wspomnianym wydawnictwie z korzyścią. Ponieważ wydawnictwo powyższe, wychodzące od lat kilku, ma na celu względy społeczne czyli niesienie pomocy, zainteresowani nie odmówią zapewne cennego współdziałania przez nadsyłanie prac wspomnianych pod adresem Redakcji kalendarza.

W imieniu wydawnictwa

Władysław Karoli.

Odpowiedzi Redakcji.

W-ny ks. Jassas, w Krożach. Adres dwutygodnika „Dziwy życia": Ś-to Krzyska Nr. 5.

W-ny W. A. H, K. Możeby szan. pan spróbował przesłać list pod adresem: Paryż (bliższego nie znamy)? Osobistość to tak znana, że chyba pocztamt paryski odszuka ją i doręczy list.

W-ny ks. A. Zwierko w Druskienikach. Prenumeratę całoroczną otrzymaliśmy, komplet wysyłamy jednocześnie z numerem bieżącym. Dziękujemy serdecznie.

W-ny P. Czarniecki w Buk. Zlecenie szanownego Pana przekazaliśmy firmie Ziegler, która je spełni sumiennie.

W-ny dr. E Mirowski w Bielcach. Pismo wysyłać będziemy podług nowego adresu.

W-ny H Rygier w Bartochowie. Stanie się zadość życzeniu szan. pana.

Od Administracji tygodnika „NAOKOŁO ŚWIATA."

Upraszamy szanownych P.p. Prenumeratorów miejskich o składanie przedpłaty za kwartał bieżący w Administracji pisma (Hoża 52, m. 4.), albo **na ręce roznosicieli, za kwitem sznurowym z pieczątką Administracji.** Prócz roznosicieli nikogo innego nie upoważniamy do pobierania prenumeraty, o ile ta nie wpływa za pośrednictwem Księgarń miejscowych.

Administracja.

Warunki przedpłaty Tygodnika „Naokoło Świata": *w Warszawie rocznie rb.* 4, *półrocznie rb* 2, *kwartalnie rb.* 1. *Na prowincji i w Cesarstwie rocznie rb.* 5, *półrocznie rb.* 2.50, *kwartalnie rb.* 1.25. *Za granicą rocznie rb.* 6; *wraz z* **„Bibljoteką ilustrowaną podróży i powieści":** *w Warszawie rocznie r.* 6, *półrocznie rb.* 3, *kwartalnie rb* 1 *kop* 50.—*Na prowincji i w Cesarstwie: rocznie rb* 7 *kop.* 50, *półrocznie rb.* 3 *kop.* 75, *kwartalnie rb.* 1 *kop.* 88 *Za granicą rb.* 9.—*Za odnoszenie do domu* 15 *kop. kwartalnie.*—*Zmiana adresu kop.* 20—*Cena numeru kop.* 10.

Agientura w Łodzi: Księgarnia L. Fiszera, Piotrkowska № 48.

Adres Redakcji i Administracji: **Warszawa, ulica Hoża № 52 m. 4, na dole.**

Agientura w Częstochowie: Księgarnia J. Nowickiego i S-ki, Aleja II № 43.

Wydawca: **Antoni Orłowski.** Za redaktora: **Antoni Orłowski.**

Дозволено Цензурою, Варшава, 5 Августа 1904 г. Druk Lepperta i S-ki, Elektoralna 18.